TYGODNIK POLSKI

THE POLISH WEEKLY

DZIŚ W NUMERZE:

Vol. 3. Nr. 38 (143) Nowy Jork, 30 września — New York, 21, N. Y., September 30th, 1945. Cena 20 ct.



STARY KOŚCIÓŁ WIEJSKI W POLSCE

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

A WIĘC STAŁO SIĘ

A więc stało się! Gruzy już tylko i klęska
I skowyt nieczłowieczy z pod ziemi dalekiej.
Zamknijcie jej kamienne na czole powieki,
Umiera pokonana, umiera zwycięska.

Już tylko widmem błądzi i jest tylko zjawą,
Lecz wychodzi nad ciemność i wachty roztrąca
I w górę idzie smugą szeleszcząc miesiąca
I, jak kometa, wróżbą wyświeca się krwawą.

Mija granice, armje, moc wszelką przerasta
I nocą przelatując, ze swej wysokości,
Jak gromowładna klątwa nad ziemią podłości,
Los świata zapisuje w los jednego miasta.

Generał Eisenhower w Warszawie

Akurat w dniach kiedy każdy Polak wspomina zburzenie naszej stolicy, i tragiczny koniec jej bohaterskiego powstania, Generał Eisenhower przybył do Warszawy robiąc wrażenie, że uważa ją za stolicę tak samo oswobodzoną jak Paryż, Bruksela, Haga czy Oslo. Wszystko na jego przyjazd było też tak przygotowane, aby wielki dowódca mógł pomyśleć, że odbywa jeszcze jedną z dziś już sakramentalnych ceremonji, witany nietylko przez lud szczęśliwy ze swobody, ale i przez rząd prawowity, wyrażający wolę i pragnienia tego ludu. Jak Wielką Wstęgę Legji Honorowej w Paryżu tak w Warszawie otrzymał Generał nowokreowany order grunwaldzki i krzyż Virtuti Militari (jakiej klasy nie podano).

Nie sądzimy, aby Generał Eisenhower (nawet przy znanej swej dobroduszności) a zwłaszcza aby jego wytrawny doradca polityczny ambasador Murphy nie zorientowali się odrazu w różnicy pomiędzy wolnością Paryża i Warszawy, losem Polski i innych krajów naprawdę oswobodzonych. To zrozumienie sytuacji wyraziło si odrazu w publicznem oświadczeniu Generała niepozbawionem akcentu jakby zdziwienia, że Warszawa jest najbardziej dotkniętym przez wojnę miastem w Europie; Generał myślał oczywiście o jej ruinach, ale sądzimy, że ambasador Lane znalazł dyplomatyczny sposób, aby go uświadomić, że ruiny Warszawy są tylko symbolem losu całej Polski.

Widok ten tak wstrząsający musiał niewątpliwie zwrócić myśl generała Eisenhowera ku powodom tego niebywałego paradoksu, że stolica kraju co walczył najofiarniej i najbezwzględniej z Niemcami jest w chwili zwycięstwa kupą popiołów, na której straż trzyma najeźdźcze wojsko.

Powstanie warszawskie upadło, Warszawa poszła w gruzy dlatego tylko — że tak chciała Rosja, która teraz właśnie rządzi w Polsce, dlatego, że ani sama, mogąc to uczynić, nie udzieliła Warszawie pomocy, ani nie pozwoliła na skuteczną pomoc Anglji i Stanów Zjednoczonych. Jasną jest też rzeczą, że gdyby nasi sprzymierzeńcy anglosascy nie zostosowali się do tego zakazu Moskwy, generał Eisenhower witany byłby dziś przez miasto a nie przez jego gruzy i przez ludność Warszawy a nie przez jej szkielety.

Generał Eisenhower zasługuje na wdzięczność całego narodu polskiego; Polacy którzy wznosili na jego cześć okrzyki, gdy przejeżdżał przez gruzy Warszawy wyrażali uczucia, które każdy Polak najgoręcej względem niego odczuwa. Wierzymy też, że przyjdzie chwila, gdy wolny naród polski na wolnej ziemi uczci go zarówno przez wielkie ludowe przyjęcie jak też przez słowa swych prawdziwych wybrańców i akty wdzięczności prawdziwego rządu, mające naprawdę prawną wartość. Tymczasem jednak jest nam przykro, ale musimy to powiedzieć, wartość odznaczeń polskich w warunkach w jakich je teraz gen. Eisenhower otrzymał jest taka sama jaką byłaby Legja Honorowa wręczona mu przez Lavala, albo order norweski przyznany przez Quislinga. Człowiek, który podejmował Generała Eisenhowera rzekomo jako prezydent Polski, nietylko nie ma do tego tytułu żadnego prawa, ale nadto jest obcym obywatelem i przedstawicielem najeźdźczej władzy. Pobyt tego człowieka w historycznym pałacu Marszałka Piłsudskiego uważa naród polski za akt bezprawia i za zniewagę swej historji. To, że Generał Eisenhower dał się namówić na tę podróż, z którą związane zostały owe ceremonje wytłumaczyć sobie możemy tylko jego pragnieniem naocznego przekonania się o losie Polski. Doznane w Warszawie wrażenia nakłonić powinny Generała do takich interwencji u rządu amerykańskiego, któreby przyśpieszyły dzień, gdy wielka Wstęga Orła Białego i Wielki Krzyż Virtuti Militari zostaną mu wręczone przez prawdziwego Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Z nim dopiero będzie mógł Generał mówić szczerze o tem, co było celem jego obecnej podróży do Warszawy — o zapewnieniu naprawdę w całym świecie wolności ludzi i narodów.

ZYGMUNT KLINGSLAND

ŁENINOWSKO-STALINOWSKA FORMUŁA DEMOKRACJI

Prasa i radjo sowieckie dowodzą, że tak liczna ostatnimi czasy i często bardzo poważne rozdźwięki pomiędzy Londynem i Waszyngtonem a Moskwą należy położyć na karb odmiennego pojmowania słowa "demokracja". W tem właśnie tkwić ma cała trudność przy próbach uzgadniania stosunku do dzisiejszych rządów rumuńskiego, jugosłowiańskiego, węgierskiego, bułgarskiego, austrjackiego. Lista rządów, stanowiących przedmiot nieporozumień pomiędzy mocarstwami Wielkiej Trójki, wydłuża się niemal co dnia. A spór toczy się zawsze na jeden i ten sam temat: zakwestjonowany jest demokratyczny charakter takich rządów.

Przy omawianiu tych kontrowersji nie zwrócono dostatecznej uwagi na pewną, bardzo znamienną okoliczność. Mianowicie, podczas kiedy w politycznej terminologji brytyjskiej i amerykańskiej słowo "demokracja" posiada ściśle określony sens, odpowiadający tradycjom i zasadom państwowo-społecznego życia tych krajów, sowieckie pojęcie "demokracji" stanowi wciąż jeszcze zupełną niewiadomą dla światowej opinji publicznej. Ci sami bowiem rzecznicy moskiewskiej doktryny politycznej, którzy tak pohopnie piętnują swoich przeciwników ideowych mianem "obrońców faszystowskiej dyktatury", wcale nie kwapią się z własnym sformułowaniem pojęcia "demokracja". W danym wypadku "dyskrecja" ich jest tem dziwniejsza, że przecież istnieją bardzo szczegółowe przepisy fabrykowania "demokracji" na modłę moskiewską, i że przepisy te sporządzone zostały przez tak miarodajnych "spec'ów", za jakich uchodzić chcą i muszą Lenin oraz Stalin.

Wyjątkowo dokładny przepis taki dał właśnie Stalin w przemówieniu do amerykańskiej delegacji robotniczej (9-go sierpnia 1927 r.). Mianowicie, tłomacząc swym gościom, jakie są nowe wartości, wniesione przez Lenina do nauki Marxa, specjalnie zaakcentował Stalin fakt "określenia władzy sowieckiej, jako państwowej formy dyktatury proletarjatu", a równocześnie zaznaczył, że według tegoż Lenina, "dyktatura proletarjatu stanowi najdoskonalszy typ demokracji klasowego społeczeństwa — wzór demokracji proletarjackiej".

Nowotarstwo Lenina polega też i na tem — wyjaśniał Stalin amerykańskiej delegacji robotniczej — że uznał on "partję za najwyższą formę organizacji proletarjatu, powołaną do scalania i kierowania pracami wszystkich innych organizacji proletarjatu (związki zawodowe, spółdzielnie, etc.). Partja, jako siła kierownicza, jest jedyną organizacją, będącą w stanie zrealizować dyktaturę proletarjatu; partją taką może być tylko partja komunistyczna, która nie powinna dzielić swych funkcji kierowniczych z innemi partjami. Spełnienie tych zadań uwarunkowane jest istnieniem żelaznej dyscypliny (wewnątrz samej partji" (Stalin: "Woprosy Lenininizma" — wyd. X).

Ponieważ możliwe jest przypuszczenie, że Lenin miał na myśli jedynie Rosję, przeto Stalin dowodzi w innym rozdziale tego samego dzieła swojego: "Czyż podstawy teorji i taktyki leninizmu nie są przydatne, nie są obowiązujące dla proletarjackich partji *wszystkich* krajów? Czyż Lenin nie miał racji, mówiąc, że "bolszewizm nadaje się, jako wzór taktyki, dla wszystkich? Czyż Lenin nie miał racji, pisząc o międzynarodowem znaczeniu władzy sowieckiej i podstaw bolszewickiej teorji taktyki?" (Stalin: "Woprosy Leninizma").

Stalinowska koncepcja "demokracji", poparta cytatami z dzieł Lenina, uwzględniona została całkowicie nie tylko w późniejszych dziełach teoretyków doktryny sowieckiej, ale, co jeszcze ważniejsze, znalazła swój odpowiednik w obowiązującym do dnia dzisiejszego regulaminie rosyjskiej partji komunistycznej. Regulamin ten ustanawia zasadę "żaleznej dyscypilny" nawet w dziedzinie dyskusji wewnątrz samej partji. Paragraf 57 ogranicza prawo dyskusji na szerszą skalę do zagadnień wyjątkowej wagi, ale nawet i w tych wypadkach ramy takiej dyskusji muszą być z góry zakreślone przez Centralny Komitet partji. "Partja kieruje wszystkimi organami proletarjackiej dyktatury", paragraf 55 zaś wyraźnie zapowiada, że "postanowienia partji i sowieckich ośrodków muszą być wykonywane dokładnie i szybko". O metodach stosowania tych paragrafów regulaminu partyjnego dają jasne pojęcie krwawe "czystki", dokonane w latach 1924, 1925, 1929-30, 1933-34, 1936-38... Najlżejszy przejaw krytycyzmu, najsłabsza próba oporu tłumione były w zarodku z bezwzględnością, której okrucieństwo podkreślane było przez tragifarsę inscenizowanych w takich wypadkach "procesów" publicznych.

Moskwa stosuje swoje pojęcie "demokracji" i swoje metody jej utrwalania do ludności krajów, znajdujących się dziś w zasięgu "wpływów" sowieckich. Mocarstwa, które zadawalają się platonicznemi protestami przeciwko wprowadzaniu dyktatury proletarjatu — oczywiście, sowieckiego! — do krajów okupowanych przez czerwoną armję, które tak dowolnie ustosunkowują się do różnych rządów narzuconych tym krajom przez Moskwę — mocarstwa te uprawiają zbyt kompromisową politykę. Czyżby dotknięte były osłabieniem instynktu samozachowawczego?...

Na kamiennych płytach grobów średniowiecznych widniała mądra sentencja łacińska: "Hodie mihi — cras tibi".

O! Obywatele! kiedy mi kto mówi o kraju, o narodzie uciemiężonym, wszystkie moje myśli zwracają się do Polski

Jakże ten kraj ludny, jest teraz pusty, samotny, strapiony! Pozbawiony instrukcyi wyzuty z uniwersytetów, złupiony z bibliotek! Kościoły jego zrujnowane, miasta spustoszone! Dolina mordu, gdzie się bieleją kości, rumieni krew jej obrońców!

Patrzcie na ucisk, na łzy niewinnych, nie mających nikogo coby ich pocieszył, nie mogących oprzeć się gwałtowi; bo nikt im nie śmie dopomódz: dzieci, młodzi, dorośli, starcy, zamknięci w ciemnych lochach, w niedostępnych wieżach, w wilgotnych kazamatach: wszędzie synowie Polski.

Ich sumienie zgwałcone; zmuszeni wyprzeć się swej narodowości, swych rodziców. Cały naród okuty w kajdany, przenoszony masami w dzikie kraje; córki pędzone jak bydło na gospodynie osadnikom, dzieci wyrywane z łona matek, żeby z nich nie urośli Polacy.

"Mowa na trzynastej rocznicy rewolucyi miana w Bruxeli 29 listopada 1843 roku w zgromadzeniu Belgów i Polaków". "Polska, dzieje i rzeczy jej". t. XX, Poznań 1864; str. 418-419.

JOACHIM LELEWEL

ROMUALD GANTKOWSKI

"Ten stary wciąż się rozwija"

(WSPOMNIENIA O LUDWIKU SOLSKIM)

W recenzji z "Horsztyńskiego" pisze Boy-Żeleński: "Widziałem Solskiego w tej roli przed paroma dziesiątkami lat, i muszę stwierdzić, że ten stary wciąż się rozwija! Postać zyskała jeszcze na szlachetności wyrazu i jego Horsztyński jakiż jest prosty i wzruszający — piękny". A miał Solski w chwili pisania tej recenzji już dobrze po siedemdziesiątce!

Tak się złożyło, że pierwszą rolą, w której dane mi było widzieć Solskiego był właśnie Horsztyński. Było to w roku 1919 w moim rodzinnym mieście Poznaniu, w świeżo przez polski zarząd miejski przejętym gmachu operowym, zbudowanym przez Niemców dla celów germanizacyjnych tej prastarej polskiej dzielnicy. Gościnne występy Solskiego, które ściągały tłumy poznańczyków stały się dla mnie przełomowem wydarzeniem.

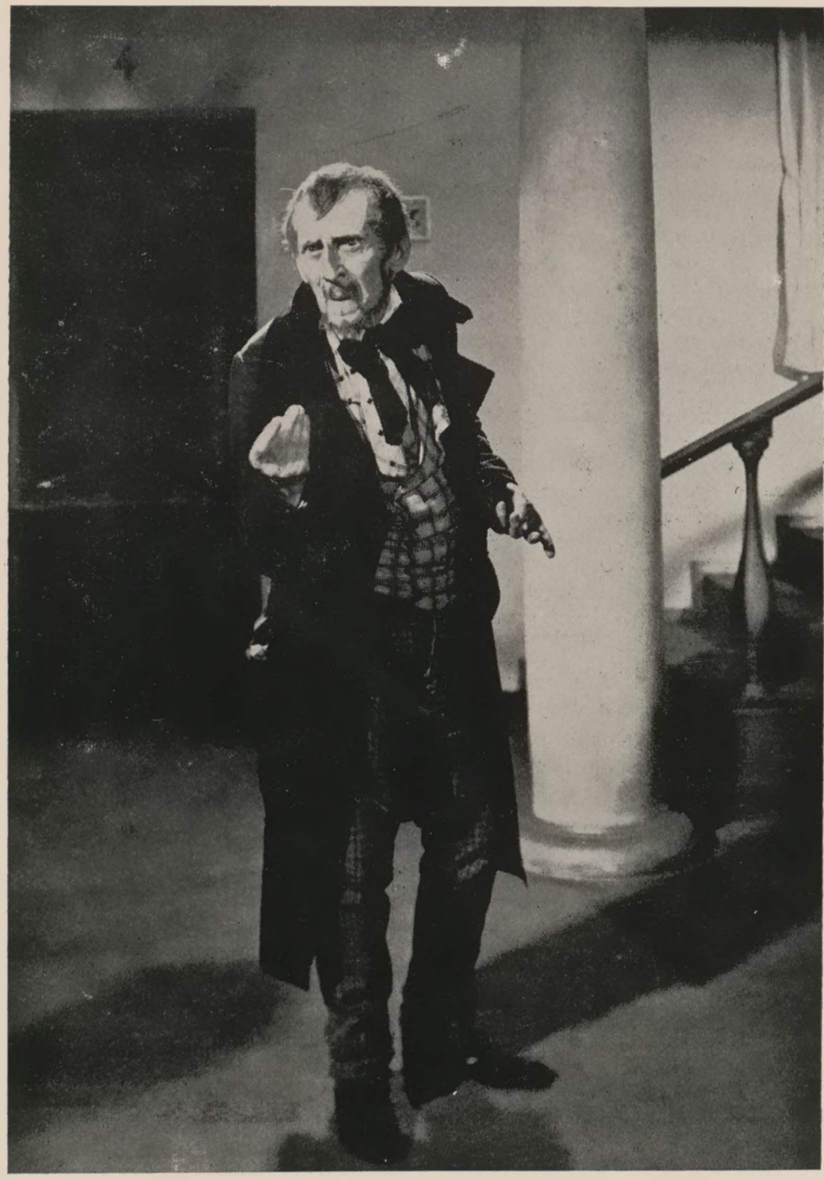
Nigdy nie zapomnę tego grudniowego dnia w domu moich rodziców — ojciec mój był w serdecznej przyjaźni z Solskim — kiedy to, stremowany do nieprzytomności, deklamowałem przed

TYGODNIK POLSKI
is
PUBLISHED WEEKLY
by
at
TYGODNIK POLSKI
806 Lexington Avenue
New York 21, N. Y.
Tel. Regent 7-4168

Publisher and Editor:
Jan Lechoń
Adm. and Business Manager:
Dr. Leopold Obierek

Subscription
Monthly 80 cents
Half Yearly $4.80 Yearly $9.50

"Entered as second-class matter April 27, 1944 at the post office at New York 1, New York, under the Act of March 3, 1879"



Ludwik Solski jako Łatka ("Dożywocie" Fredry)

Mistrzem monolog z "Kordjana". Marząc od dziecka o scenie, wychowany w kulcie dla Mickiewicza, Słowackiego, Wyspiańskiego, umiałem na pamięć całe fragmenty naszej wielkiej poezji. Wybrałem swój "popisowy numer": "W przeszłość patrzę ciemną..." i zdawało mi się, że olśnię Solskiego. Byłem więc głęboko dotknięty i obrażony, kiedy nasz gość nie zareagował zupełnie na mój wyczyn—a przecież nie żałowałem ani głosu, ani mimiki — i skierował szybko rozmowę na inny temat. Razem ze mną ojciec mój, gorący zwolennik moich aspiracji teatralnych, jakby posmutniał, za to matka, zagorzała przeciwniczka tych scenicznych afektów — trymfowała!

Zawiedziony, rozżalony i zniechęcony, siedziałem w ponurym nastroju, nie mogąc się doczekać końca wieczoru. W duchu rezygnowałem już ze swoich planów i ze zgrozą myślałem o czekającym mnie "zwykłem" życiu "zwyczajnego cywila". Miało się jednak stać inaczej. Kiedy późną już nocą wyprowadzając dyrektora otwierałem mu bramę naszego domu, Solski pochylił się nagle i szepnął mi do ucha rozkazująco: "Wstap na scenę — chłopcze!" I tak też się stało.

Po skończeniu państwowej szkoły dramatycznej zostałem zaangażowany do miejskich teatrów dramatycznych w Poznaniu, gdzie też już jako aktor i pomocnik reżysera zetknąłem się z Solskim, po raz drugi w 1925 roku. Ten niezapomniany okres półrocznej ciężkiej pracy aktorskiej i reżyserskiej — Solski dawał mi do wstępnego opracowania wszystkie zbiorowe sceny różnych wielkorepertuarowych sztuk — pod twardym i arbitralnym kierunkiem Mistrza, był nietylko

świetną szkołą dla mnie, ale pozwolił mi również przyjrzeć się z bliska i ocenić właściwie nieprawdopodobną wprost gamę kunsztu aktorskiego tego naprawdę z krwi i kości człowieka teatru.

Chudy, średniego wzrostu małpio zręczny, mistrz maski z łatwością wczuwający się w każdą epokę, noszący kostjum stylowy jakby się był w nim urodził, nieomylny w zawsze właściwym akcencie odtwarzanej postaci, o przejmującym, ostrym wysokim timbre głosu, używanego dowolnie w każdej tonacji, z nieporównaną maestrją, sugestywny także wyrazistą mimiką i zdecydowanym gestem — był i jest Solski — aktor także niezrównanym reżyserem, pedagogiem i dyrektorem.

Ludwik Sosnowski — bo takie jest jego prawdziwe nazwisko — urodził się w 1855 roku na wsi, w ziemi krakowskiej jako syn powstańca z 1831 r. Wrew woli rodziców wstępuje w 1875 r. na scenę krakowską, gdzie zmienia nazwisko na Solski. Najbliższy przyjaciel i najgorętszy chyba wielbiciel jego Kornel Makuszyński, opowiadał mi że rozpoczęciu wielkiej karjery scenicznej Pana Ludwika towarzyszył krótki djalog: "Co ty chcesz grać?" pyta chuderlawego chłopca groźnie dyrektor teatru. "Same duże role!" odpowiada rezolutnie przyszły Mistrz.

Pierwsze dwudziestolecie sceniczne Solskiego to nie tyle okres "górny i chmurny" — ile przedewszystkiem głodowy. W materjalnie niezwykle trudnych warunkach grywa Solski dosłownie wszystko, ba nawet tańczy i śpiewa na wszystkich scenkach i scenach polskich. W roku 1876 jest w teatrzyku "Eldorado" w Warszawie, w latach 1877 — 1888 w Łodzi, w sezonie 1882-3 śpiewa Jontka w "Halce" w Poznaniu, poczem znowu gra i reżyseruje w Warszawie, Wilnie i Krakowie. Około 1900 roku jest główną podporą i reżyserem u Pawlikowskiego we Lwowie. Rok 1905 jest pamiętną datą w biografji Solskiego. W roku tym obejmuje po Kotarbińskim dyrekcję Teatru w Krakowie, by nią kierować przez 8 lat najświetniejszych bodaj w historji sceny polskiej. Kraków ówczesny — jeszcze żył Wyspiański — eksplodujący talentami w dziedzinie sztuki malarskiej, w literaturze i poezji, w nauce, w rzeźbie i muzyce wywarł na Solskiego będącego w szczytowej fazie rozwoju swego talentu potężny wpływ. Przyszły historyk-teatrolog przypisze zapewne temu wpływowi nietylko wspaniałe aktorskie kreacje Solskiego z tego okresu, ale przedewszystkiem jego działalność w charakterze dyrektora-reformatora. To Solski pierwszy wprowadził na scenę polską stałego kierownika literackiego i powierzył to dziś niezbędne w teatrze stanowisko Lucjanowi Rydlowi. To Solski dał scenie naszej pierwszego stałego dekoratora a był nim Karol Frycz.

Z tych również lat datuje sławna "garderoba Solskiego" nie mająca sobie równej na całym świecie. Przesiadując całemi godzinami w czasie przedstawień w garderobie dyrektorskiej teatru krakowskiego artyści-przyjaciele skracali sobie czas oczekiwania na gospodarza malowaniem na ścianach karykatur i portretów Solskiego z jego licznych ról, poeci i literaci wypisywali ad hoc na cześć Solskiego ułożone wierszyki i wypowiedzi, muzycy kilku taktami kompozycji utrwalali swój podziw. Widnieje tam też dużo podpisów wybitnych cudzoziemców, przejeżdżających przez Kraków. Kiedy już trzy ściany tego swoistego "muzeum" zostały zamalowane i zapisane, Solski rozpiął na czwartej duże płótno w szerokich drewnianych ramach, gdzie brać artystyczna kontynuowała z zapałem swoje dzieło. Ten "obraz-dokument" zabrał Solski — opuszczając w roku 1913, teatr krakowski dla warszawskich "Rozmaitości" ze sobą do Warszawy, gdzie jakby dla zachowania ciągłości wielkiej tradycji doszło kilkadziesiąt nowych conajświetniejszych nazwisk

Po krótkiej dyrekcji Solskiego w Teatrze Polskim pod koniec pierwszej wojny światowej powraca on na na-



Ludwik Solski jako "Judasz z Kariothu"
Karola Huberta Rostworowskiego

czelne stanowisko jako dyrektor wraz z Osterwą nowego Teatru Narodowego w r. 1925. Na kilka lat przed wojną prowadzi Solski Teatr Narodowy przez klika sezonów, by dopiero w 1938/39 ustąpić na rzecz A. Zelwerowicza.

Ale wróćmy do Solskiego-aktora. Ma on w swoim olbrzymim i bogatym repertuarze role tak djametralnie różne, tak zdawałoby się niemożliwe do odegrania przez tego samego człowieka, jak naprzykład Chudogęba z "Wieczoru Trzech Króli" Szekspira, i Gamrat w "Królewskmi Jedynaku" Rydla, jak Drwal w "Zaczarowanym Kole" Rydla i "Car Samozwaniec" Nowaczyńskiego, jak Józio Grojseszyk w "Podróży po Warszawie" Szobera i w dramacie japońskim "Tarakoi" samuraj Macuo.

Boy-Zeleński pisze w sprawozdaniu z "Dożywocia" Fredry w ten sposób ("Flirt z Melpomeną" r. 1925, str. 124): Rola Solskiego jako Łatki, to jedna z wielkich sław tego aktora, jeden z tych kapitałów polskiego teatru, który winien być utrwalony na filmie i na płycie w jakiemś muzeum teatralnem"



Ludwik Solski jako "Wielki Fryderyk" Adolfa Nowaczyńskiego

Temu słusznemu życzeniu Boy'a stało się zadość i dumny i szczęśliwy jestem, że mnie przypadło w udziale spełnienie tego zadania! Kiedy po kilkoletnim pobycie zagranicą w Niemczech, w Ameryce, we Francji i we Włoszech wróciłem w 1934 roku do kraju i osiadłem w Warszawie, poświęcając się wyłącznie reżyserji filmowej, odwiedziłem oczywiście Solskiego w jego mieszkaniu w Alejach Jerozolimskich. Powitany najserdeczniej i zwymyślany niemniej serdecznie za to, że rzuciłem scenę — czego mi zresztą nigdy Solski nie mógł darować — oglądałem z zachwytem istotnie bezcenne muzealne jego zbiory i pamiątki. Szczególny mój zachwyt wzbudziły akwarele Wyspiańskiego, który malował Solskiego w kilku jego rolach — między innemi jako Jagiełłę. Oglądając ów "obraz-dokument" (czwartą ścianę) z garderoby Solskiego w Krakowie — wyraziłem żal, że takie dowody wspaniałej epoki teatralnej nie zachowają się dla przyszłych pokoleń. Zapytałem też mistrza o stan jego krakowskiej garderoby. Wyjaśnił mi, że jakkolwiek nic nie uczyniono, aby ściany garderoby odpowiednio zabezpieczyć od zniszczenia — Solski jeszcze w 1913 roku zostawił magistratowi w Krakowie 600 koron na pokrycie ścian szkłem — to jednak malowidła i napisy zachowały się względnie dobrze. Zaproponowałem wówczas Solskiemu sfilmowanie jego krakowskiej garderoby i jego warszawskiego mieszkania. Wyraził swą zgodę natychmiast.

Po tej naszej rozmowie zaczęła mi chodzić po głowie myśl nakręcenia filmu o Solskim. Nie była to idea nowa. Dowiedziałem się, że kilka lat przede mną myślał o tem również Ordyński, pragnący nakręcić wówczas krótkometrażówkę poświęconą keacjom Solskiego. Ani Solskiemu jednak ani mnie nie odpowiadał krótki metraż. Wiedziałem, że na 300 czy 600 metrowej taśmie nie zmieszczę wszechstronnej charakterystyki Solskiego. Marzyłem o dużym filmie.

Ostatecznie wiosną 1938 roku poleciałem z Solskim — nie uznaje on innej komunikacji, kolejowa jest dla niego i za wolna i za nudna — do Krakowa na dwa dni dla dokończenia zdjęć filmowych dawnej garderoby Nigdy nie zapomnę tych 49 godzin w "reżyserji" Solskiego. Nie wolno mi było zrobić niczego z własnej inicjatywy .Mieszkałem, jadałem, chodziłem tam, gdzie Solski chciał. Ba, nawet sypiałem tyle — ile mi Solski pozwolił. Solski był w swoim żywiole. Był wzruszający i czarujący. W błyskawicznem tempie obleciał cały teatr Słowackiego od piwnicy do strychu i od dyrektora do maszynisty, zajrzał wszędzie· do kostjumerji i na sznurownię, pamiętał nazwiska i koneksje rodzinne krawców i garderobianych, a wieczorem na przedstawieniu "Małego Domku" Rittnera naprzemian to omawiał ze mną grę i reżyserję ,to witał się z niezliczoną ilością przyjaciół i znajomych.

Myślałem, że po spektaklu zdołam nakłonić tego wówczas 83-letniego

młodzieńca do udania się na spoczynek. Gdzieżtam — poszedł z nami do knajpy, gdzie w towarzystwie przypadkowo spotkanego Leona Wyrwicza przesiedzieliśmy w wesołym nastroju do 3ej w nocy.

Nie zdążyłem jeszcze dobrze zasnąć, kiedy o 7ej rano zbudził mnie Solski już po odbyciu rannego spaceru dokoła Sukiennic. Po pierwszem śniadaniu, przyrządzonem u Pollera pod "osobistym nadzorem" Solskiego — pojechaliśmy z jego inicjatywy w towarzystwie pani Rostworowskiej i jej synów na cmentarz na Salwatorze, gdzie spoczywa wielki Karol Hubert. Po złożeniu wieńca na grobie swego długoletniego przyjaciela. Solski wdał się w rozmowę ze znanym sobie oczywiście — jakżeby mogło być inaczej! — starym zapijaczonym grabarzem na cmentarzu. Mowa była o dawnych, świeżych i przyszłych nieboszczykach Przed oczami moimi przesunął się w tym kapitalnym djalogu cały przeszły i współczesny Kraków. Było co słuchać! Scena naprawdę szekspirowska! Kiedy w pewnym momencie jowialny grabarz zaczął Solskiemu dobrodusznie tłumaczyć, że "kochany dyrektorek tutaj powinien, między swoimi, a nie tam gdzieś w Warszawie, umrzeć i kości swe złożyć." Solski gwałtownie przerwał rozmowę i długo coś tam z oburzeniem mruczał pod nosem.

Z uroczych wrażeń wizyty krakowskiej ochłonąłem dopiero w samolocie powrotnym, kiedy Solski zostawił mnie samego w kabinie pasażerskiej, udając się na cały czas lotu z wizytą do pilota zapewne pouczać go jak ma latać.

Solski nowicjuszem w pracy filmowej bynajmniej nie był. Grał jeszcze w niemych filmach w 1930-31 roku wystąpił w studio "Paramountu" pod Paryżem w produkcji polskiej wersji amerykańskiego filmu Ordyńskiego. Muszę stwierdzić, że nigdy w współpracy z innymi obcymi i polskimi aktorami nie spotkałem się z taką solidnością, wytrwałością i żarliwością jak u tego szalonego. niezmordowanestaruszka. Film, który z inicjatywy A. Nowaczyńskiego nazwałem "Genjuszem sceny", ujęty w formę prelekcji wygłoszonej przez drugiego po Rydlu kierownika literackiego sceny krakowskiej, Adama Grzymałę-Siedleckiego, obejmuje 13 fragmentów czołowych ról Solskiego. Szekspir i Słowacki, Moljer i Fredro, Wyspiański. Rostwroowski i Nowaczyński przemówili po raz pierwszy z polskiego ekranu. Papę Zietena w "Fryderyku" grał Brydziński, Chłopickiego Węgrzyn, Gospodynię w "Weselu" Pancewiczowa, Salusię w "Horsztyńskim" Barszczewska. "Flim-pomnik" — krzyknął Makuszyński, któremu pokazywałem film w pierwszym jeszcze surowym montażu i wybiegł z sali projekcyjnej prosto do urzędu pocztowego ,by nadać depeszę gratulacyjną do Solskiego, pzebywającego na urlopie.

"Genjusz sceny" uzyskał złoty medal za kreację Solskiego na Biennale w Wenecji w roku 1938. W filmie tym — o ile któraś z kilkunastu kopji się zachowała — pozostał jedyny ślad po Solskiego zbiorach, które przed samą wojną miało przejąć Muzeum Narodowe w Warszawie, a które uległy zniszczeniu w czasie bombardowania stolicy we wrześniu 1939 r. Sam Solski stał ponoć w czasie tego bombardowania na dachu własnego domu i gasił bomby zapalające. Okupację niemiecką przebył w znakomitej formie, jak o tem świadczy 2 lata temu otrzymany z Warszawy list, w którym Janowi Lechoniowi donosi przyjaciel. że "Solski młody jak zawsze". W chwili obecnej 90-letni Solski przebywa w Krakowie. gdzie jakoby niedawno grał swoją świetną rolę Dyndalskiego w "Zemście".

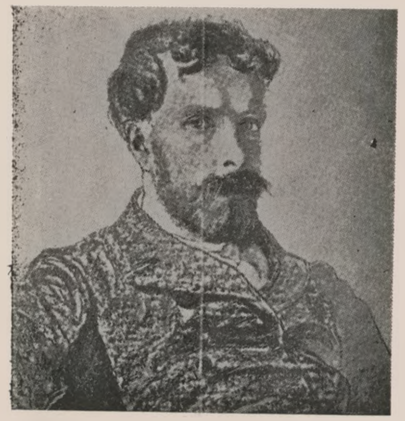
O Solskim kąży w świecie aktorskim masę prawdziwych i nieprawdziwych anegdot, "powiedzonek", legend. Przytoczę tu autentyczny epizod, jaki miał miejsce w Teatrze Narodowym w 1938 roku. Na próbie z jakiejś sztuki Józef Węgrzyn nie chciał w obawie o swoje nogi, zeskoczyć z dwóch i pół metrowego rusztowania, a wymagała tego akcja. Reżyserujący sztukę zirytowany Solski sam wszedł na platformę i zgrabnie, lekko zeskoczył. Na to Węgrzyn: "No, gdybym miał Pańskie lata, Dyrektorze..."

W roku 1937 Solski zawsze wyzywająco zdrowy — zachorował tak poważnie, że lekarze oczekiwali katastrofy z dnia na dzień. Kryzys jednak minął bardzo szybko i chory w rekordowym poprostu tempie wrócił do zdrowia i pracy. Wówczas to aktorzy taką sobie opowiadali bajeczkę: Ze nad łóżkiem u stóp nieprzytomnego Solskiego stanęła śmierć z kosą. Sama się wzruszyła widokiem bezwładnego Solskiego, na którego czyhała bezskutecznie tyle lat! Z tego pewnie wzruszenia wypuściła kosę z ręki i oparła ją o łóżko. Na to nagle zerwał się Solski — wieczny reżyser i wrzasnął: "Gdzie ty masz kosę?" Nic dziwnego, że śmierć się przestraszyła i.... uciekła.

Ale aktorzy opowiadają sobie również — niektórzy w to silnie wierzą — że "Solski nigdy nie umrze." I ja zaczynam w to wierzyć.

ZŁOTE KARTY POLSKIEGO PIŚMIENNICTWA

Stanisław Wyspiański: WESELE (Akt II Scena 7)



Stanisław Wyspiański

Stańczyk — Dziennikarz

Stańczyk (idąc) —
Ktoś się za mną włóczy wciąż.

Dziennikarz —
Ktoś przedemną ciągle stąpa.

Stańczyk (już był usiadł) —
Domek mały, chata skąpa:
Polska, swoi, własne łzy,
własne trwogi, zbrodnie, sny,
własne brudy, podłość, kłam.
Znam, zanadto dobrze znam.

Dziennikarz —
Zacz kto?

Stańczyk —
Błazen.

Dziennikarz (poznając) —
Wielki mąż!

Stańczyk —
Wielki, bo w błazeńskiej szacie,
wielki, bo wam z oczu zszedł;
błaznów coraz więcej macie,
nieomal błazeńskie wiece.
Salve bracie!

Dziennikarz —
Ojcze Salve!
Szereg dobrych błaznów zrzedł.
Przywdziewamy szarą barwę,
koncept narodowy gaśnie;
gasną coraz te pochodnie,
które do hajduków ręku
przywiązane żarem płoną.
Skapały, zżarły się świece,
a że do rąk przytroczone,
więc jeszcze palą się ręce,
w tę samą zaklętę stronę.
Trzebaby do służby narodu
błaznów całego zastępu.
Palą się hajduki w męce,
z własnego bólu się śmieją;
gasną świece narodowe,
okropne rzeczy się dzieją,
śmiechem i szyderstwem biegu
obudzić, ośmielić zdolne
serce spodlone, niewolne,
które naszą krew zaprawia.

Stańczyk —
A wolicie spać — —

Dziennikarz —
To jedno!
Usypiam duszę mą biedną
i usypiam brata mego.
Wszystko jedno, wszystko jedno,
tyle złego co dobrego:
okropne rzeczy się dzieją.
Patrzeć na przebiegi zdarzeń —
dalekie, dalekie od marzeń,
tak odległe od wszystkiego,
co było wielkie w kraju;
że wszystko, co było, przepadło,
bezpowrotnie w mroku zbladło;
to bajki o trzecim Maju!
Matkę do trumny się kładło,
siostry i rodzinę całą;
ksiądz pokropił i poświęcił,
grabarze gruz przywalili;
epigonów, co zostało,
na stypie się weselili
wesołością, co przeklina;
w pijaństwie duszę zabili,
a nie mogli zabić serca.
Zostało serce, co woła,
spłakane u bram kościoła,
skrwawione u wrót świątyni,
i jeszcze w męce okrutnej,
w czułej litości rozrzutnej
samo siebie wini.

Stańczyk —
Acan, jako spowiedź czyni,
spowiedź, widzę,
cudzych grzechów;
Acan się zalewa łzami.
duszę krwawi, serce krwawi;
ale znać z Acana mowy,
że jest, — tak — przeciętnie
zdrowy;
jutro humor się naprawi. —
Gotów mi płakać najrzewniej,
rozczulać się cudzych grzechów,
u bliskiego widzieć tramy,
zbrodnie, brudy, grzechy plamy
i za swojego bliskiego
uczynić publiczną spowiedź. —
A! doprawdy! warte śmiechów.—
Może jeszcze rozgrzeszenie
wziąć kapłańskie
z cudzych zbrodni — ?

Dziennikarz —
Wina ojca idzie w syna;
niegodnych synowie niegodni:
Ten przeklina, ów przeklina, —
ród pamięta, brat pamięta,
kto te pozakładał pęta
i że ręka, co przeklęta.
była swoja. — Rozbrat wieczny
duszy z ciałem, ciała z duszą;
w nim się słabi kruszą; —
miecz do walki obosieczny.
Myśmy słabi. — Wielkość gniecie,
przekleństwo nosi na grzbiecie:
zbrodnie nosi, czarne kiry,
szatę krwawą Dejaniry;
Wielkość: Zbrodnia;
Małość: podła —
Jakaż nasza dzisiaj Wola?!
Czarodziejska dłoń ogrodła
nasze pola.

Stańczyk —
Łzy ze źródła!
Tyle żalów o nieswoje!?
A cóż tobie niepokoje
tych, co w grobach leżą?
Myślisz, — że się trupy odświeżą
strojem i nową odzieżą, —
a ty z trupami pod rękę
będziesz szedł na Ucztę-mękę
i jako potrawy żuł,
czem się tylko kiejś kto truł;
wsączał w siebie i pił
czem tylko kto gdzie gnił. —
Czy to ma być twoja krew?!

Dziennikarz —
Moja krew, moja krew. —
czy ja wiem? — Okrzyk mew.
gdy gonią ponad skały.
okrzyk mew osmętniały.
żałośliwy, straszny,
gdy od brzegu odbiegły daleko.
Morze ciche, strop się chmurzy.
gdzieś burza i orkan daleko.
tylko głuchość i pustka
bezmierna; —
a tu skrzydła rozchwiane do lotu,
nie pragnę, nie pragną powrotu
i wiedzą, że tam, gdzie dążą.
wylądu szukać daremno.
Przekleństwu swojemu wierne,
lecą. — i nie śmieją ustać.
aż krew do ust pocznie chlustać
ze znużenia — wtedy padną.
łzą nie pożegnane żadną,
bo śmierć ulga, ulga zgon.

Stańczyk —
Zaśpiewałeś kruczy ton.
Tobież tylko dzwoni w głuszy
pogrzebowych jęków dzwon?
A słyszał-żeś kiedy, z wieży,
jak dźwięczy i śpiewa on?

Dziennikarz —
Zygmunt, Zygmunt...

Stańczyk —
Dzwon królewski! —
Siedziałem u królewskich stóp,
królewski za mną dwór:
synaczek i kilka cór,
Włoszka, — a wielki chór
kleru zawodził hymny; —
a dzwon wschodził.
Patrzali wszyscy w górę,
a dzwon wschodził, —
zawisnął u szczytów
i z wyżyn się rozdzwonił:
głos leciał, polatał,
kołysał się górnie,
wysoko, podchmurnie. —
a tłum się wielki pokłonił.
Pojrzałem na króla,
a król się zapłonił...
Dzwon dzwonił.



Kazimierz Kamiński jako Stańczyk w pierwszem przedstawieniu "Wesela" w teatrze krakowskim.

Dziennikarz —
A toć nam tętni dziś
jak grzebiemy, kto nam drogi;
zwołuje nas, każąc iść
posłuchać kościelnych szumów,
w wielkim zamęcie rozumów.
w wielkim modlitew rozjęku,
On pan, ten dzwon królewski,
nieustający w brzęku,
o pękniętem sercu:
nasz ton. — Nad przepaścią stoję
i nie znam, gdzie drogi moje.
Stańczyk —
Byś serce moje rozkroił,
nic w niem nie najdziesz inszego,
jako te niepokoje:
sromota, sromota, wstyd,
palący wstyd.
Jakoweś Fata nas pędzą
w przepaść —
Dziennikarz —
Ty wid!
Stańczyk —
Ja Wstyd!
Piekło wiem gorsze, niż Dante,
piekło żywe.
Dziennikarz —
Żyję w piekle!
Stańczyk —
Społem w przepaść!
Dziennikarz —
Społeczeństwo!
Oto tortury najsroższe,
śmiech, błazeństwo, —
to my duchy najuboższe. —
"Społem" to jest malowanka,
"społem" to duma panka,
"społem" to jest chłopskie
"w pysk",
"społem" to papuzia kochanka,
próżność, nadczłowieczeństwo —
i przytem to maleństwo:
serce pęknione, co krwawi.
Stańczyk —
Asan prawi, —
jako najwalniejsi gębacze,
odrośl od tych samych pni
z moich dni.
Dziennikarz —
Wolałbym już stokroć razy
policzone dni,
niż ten bieg. pęd, gonitwa
ku przepaści, otchłani, zawrotom!
Ach! kresu, ach! kresu lotom.
Stacza się sercowa bitwa,
opadam coraz na głazy,
mrze na ustach modlitwa.
Ach, kresu, ach, kresu lotom!
Niechby się raz wszystko spali,
zetrze się, na proch się zsypie,
jak kolumny na gruz się rozwali,
byśmy padli potruci
jadami w pogrzebowej stypie;
niechajby się raz wszystko spali,
i te nasze polskie posty
dusz do polskich świętych
i te nasze tęczowe mosty
czułości nad pustką rozpiętych,
malowanki Częstochowskie
w koronach — i wszystkie Wiary!
Nieszczęścia wołam!!
Stańczyk —
Puszczyku...
Dziennikarz —
Możeby nieszczęście nareszcie
dobyło nam z piersi krzyku,
krzyku, coby był nasz,
z tego pokolenia. —
Ach, Sumienia, Sumienia!
Już było tych prawd bezliku
dla nas. — Prawdy czy Fraszki??
Stoimy u polskich granic
a mamy obecność za nic,
od talentów zawisłe igraszki.
Stańczyk —
Puszczyku!
Zgrałeś się przy zielonym stoliku,
czy z kobietami w gorączce
opętałeś duszę mdłością
i w tej momentu palączce
oślep gnasz we własne próchno.
A gdy na nie wichry dmuchną,
rozleci się zgasłe próchno,
zamurują się otchłanie
i krzyk i jęk i wołanie
zda ci się błazeństwem duszy,
które nikogo nie skruszy
które zeżre siebie samo
a trzewia mu gniciem cuchną.
Znam ja co jest serce targać
gwoździmi, co się w serce wbiły,
biczem własne smagać ciało,
plwać na zbrodnie, lżyć złej woli,
ale Świętości nie szargać,
bo trza, żeby święte były,
ale Świętości nie szargać:
to boli.
Dziennikarz —
Tragediante...
Stańczyk —
Comediante,
dla ciebie błazeńska laska.
Dziennikarz —
Piastujesz ją piastun stary;
znasz tylko: status quo ante;
błazeństwo z tobą się zrosło.
Stańczyk —
Oto naści twoje wiosło:
Błądzący w odmętów powodzi,
masz tu kaduceus polski,
mąć nim wodę, mąć.
Dziennikarz —
Fatum nas w obłędy wodzi:
u rozstajnych dróg, zły Duch!
Tu moje rozstajne drogi;
ty mój Duch-zły, —
demon, Szatan.
Błazeństwem ja z tobą zbratan,
byłem ci duszą poswatan,
nim dusza stała się trup,
a teraz mi pachnie grób,
czuję trąd.
Stańczyk —
Naści; rządź!
Masz tu kaduceus polski,
mąć nim wodę, mąć.
Dziennikarz —
Nie chcę żadnych więcej prób.
Serce miałem kiedyś młode,
porwałeś mi serce młode.
wlałeś jad goryczy w krew.
Nie widzę, nie widzę dróg,
zaćmił mi się Bóg...
Stańczyk —
Fata pędzą, pędzą Fata —
Wielkość, — Nicość, —
pusty dzwon,
serce strute; —
uderzyłeś błazna ton:
moją nutę.
Kłam sercu, nikt nie zrozumie,
hasaj w tłumie!
Masz tu kaduceus, chwyć!
Rządź!
Mąć nim wodę, mąć!
Na Wesele! Na Wesele!
Idź!
Mąć tę narodową kadź,
serce truj, głowę trać!
Na Wesele! Na Wesele!
Staj na czele!!!

ANONIMOWY AUTOR Z POLSKI

APEL

(Ciąg dalszy)

Na koniec uciekinier, obszedłszy wzdłuż wszystkich szeregów, wrócił z powrotem na środek placu. Tam capowie wykańczali jeszcze coś przy podniesieniu. Musiał więc chwilę czekać obok. Gdy skończyli zmuszono go, aby wdrapał się na estradę. Pomagano mu biciem i krzykami. Wreszcie stanął tam. Porwany drelich ledwie skrywał jego nagość. Stał z opuszczonemi rękami, ciągle trzymając w jednej bęben, w drugiej pałeczkę. Błazeński kogut przekrzywił mu się na głowie, którą pochylał trochę w bok; uwierał go widać kij z napisem. Oczy jego do końca pozostały niewidzące, choć wyraźnie szukały wśród tłumu, w miejscu, gdzie stał trzeci blok, jakiejś jednej twarzy. Być może znalazły ją, bo w jednej chwili jak gdyby cień uśmiechu, nieśmiały i prawie pogodny, przesunął się po jego skrzywionych wargoch. Wtedy pchnięto go na środek podniesienia. Dalej wszystko już poszło szybko. Biło kijami sześciu capów. Z początku uderzali kolejno, lecz gdy po pierwszych kilkunastu razach chłopiec upadł, poczęli leżącego tłuc wszyscy równocześne. Gdy skończyli i zeszli z estrady, na deskach pozostała bezkształtna, krwawa miazga. Na tem się skończyło. Obóz wrócił do przerwanych prac— estradę zostawiono.

Zabity nazywał się Wacław Zawadzki, miał 23 lata. Z fachu był radiotechnikiem, do obozu dostał się przed rokiem za kolportaż nielegalnej prasy. Jeszcze tego samego dnia w sztubie, gdzie sypiał, wszczął się spór o miejsce po nim na sienniku. Ponieważ współtowarzyszem Zawadzkiego był młody i zdrowy student z Warszawy, Stanisław Karbowski, pragnęli z nim spać wszyscy ci, którym zatruwali sen chorzy na pęcherz. Chętnych było wielu. Ostatecznie dzięki nieporadności sztubowego — Pawłowskiego, magistra prawa z Krakowa, wmięszał się w te spory zastępca capa, niejaki Nadolny, przestępca kryminalny, a przedtem na dobrych kilka lat przed wojną, posługacz w miejskim szpitalu w Pszczynie. Nadolny przydzielony był do pilnowania swego bezpośredniego zwierzchnika, Niemca Schredera, który swój socjalizm odpokutowywał od sześciu lat po różnych obozach, a ostatnio przeniesiony z Dachau do Oświęcimia, pełnił tutaj obowiązki capa trzeciego bloku.

Interwencja Nadolnego skończyła się zbiciem kilku więźniów, sztubowy, niepozorny człowieczek o twarzy gryzonia, też przy tem dostał za swoje, a na siennik przydzielono Karbowskiemu starszawego i ledwie już trzymającego się na nogach nauczyciela przyrody z lubelskiego gimnazjum. Nazywał się ten profesor Ignacy Śliwiński. Siedział w obozie od miesiąca zaledwie, lecz nie wyglądał na takiego, co długo pociągnie. Od paru tygodni pracował przy wałowaniu terenu, a ponieważ był boso, poranił sobie stopy od ostrego żwiru. Te rany jątrzyły się boleśnie i ropiały. Cierpiał poza tem na silny bronchit, a na głowie miał kilka ran od uderzeń capa, kierującego walcem, lewą nerkę obluzowaną od kopnięcia, a na domiar wszystkiego złego, załatawiał się w spodnie. Unter-capo znał go z tej strony i codzień regularnie go bijał za zmoczony siennik. Ponieważ Karbowski od wielu miesięcy sypiał i przyjaźnił się z Zawadzkim, więc Nadolny powziął podejrzenie, że chłopiec musiał coś wiedzieć o planowanej ucieczce tamtego. Postanowił go mieć na oku, a na początek zdecydował uprzyjemnić mu życie nowym współtowarzyszem.

Tego wieczoru Staś długo nie mógł zasnąć. Leżał na wznak z zamkniętemi oczami, głowa mu ciążyła i chwilami zdawało mu się, że całym sobą zapada w głęboki mrok. Lecz był przytomny i senności nie czuł wcale. W pewnej chwili kierując się odruchem wielomiesięcznego przyzwyczajenia, uniósł cokolwiek rękę, aby znaleźć w ciemnościach dłoń przyjaciela. Natrafił na obce ciało.

Profesor jeszcze nie leżał. Skulony, ciężko mocując się ze świszczącym oddechem opatrywał sobie po omacku stopy jakimiś gałganami. Niespodziewanie dotknięty drgnął i Staś prawie natychmiast uczuł, jak ciepła mokrość poczyna mu podpływać pod uda. Machinalnie uniósł się i równie machinalnie położył się z powrotem. Było pod nim tak mokro, jakby wylano na siennik kubeł wody.

Profesor siedział bez ruchu, zaprzestał opatrywania nóg. Dokoła ze wszystkich stron dobiegały ciężkie pochrapywonia śpiących. Upłynęło tak parę chwil. Wreszcie profesor szepnął bardzo cicho i pokornie:

— Przepraszam...

Stasiowi aż załaskotało w piersiach od nagłej ochoty roześmiania się. Nie wytrzymał i parsknął krótko, lecz dość głośno. W odległym kącie sztuby poderwał się ktoś na sienniku.

— Cisza! — krzyknął zdenerwowany głos.

Był to sztubowy Pawłowski, który dzisiaj na apelu i ostatnio od untercapa oberwał niezliczoną ilość uderzeń po twarzy. Normalnie koleżeński i uczynny, w okresach, kiedy ulegał panicznemu strachowi, stawał się niemożliwy. Tak i teraz zerwał się na nogi i począł wołać przyciszonym głosem:

— Chcesz do raportu jeden z drugim, chcesz, co, chcesz? Który się roześmiał?

W przeciwległym kącie sztuby ktoś wydał bardzo głośny dźwięk.

— Świnia — krzyknął sztubowy.

— Ty — odezwał się ze środka niski głos — nie bądź za mądry, jak untercapo usłyszy, to i ty dostaniesz w mordę, mało ci było?

Sztubowy przycichł.

— O Boże — jęknął — zwarjuję tutaj.

Staś coraz większy wkładał wysiłek, aby stłumić w sobie śmiech. Trzęsło nim jak febrą od środka, gdzieś aż z głębi brzucha, bulgotało mu w piersiach, do gardła nabiegały jedna po drugiej jątrzące łaskotki. Przypierała go ta potrzeba śmiechu nagłos coraz natarczywiej, całkiem jak biegunka. Jednocześnie zamierał ze strachu na myśl, co się stanie, gdy nie zdoła śmiechu w sobie uciszyć. I tak wśród tych dwóch sprzecznych uczuć męczył się dłuższy czas. Wreszcie odwrócił się na brzuch i nagle, nie wiedząc kiedy zasnął.

Nowy dzień zaczął się normalnie. Wstawano, gdy na dworze było zupełnie ciemno. Okazało się, że na izbie jest konający: lekarz z Warszawy, doktór Parczewski, chory od kilku dni na zapalenie płuc. Parczewski był przytomny. Wiedział, że mu niewiele godzin pozostało do życia i prosił, żeby się nim nie zajmowano. Sztubowy pobiegł jednak po capa, ale ten był zajęty gdzieindziej, więc stało się jak wczorajszym wieczorem— przyszedł Nadolny. Ten, dzięki dawnemu fachowi, miał dość dobre oko, aby z miejsca rozpoznać agonję. Pochylił się nad doktorem i trąciwszy go końcem buta krzyknął:

— Wstawać, ty!

(Ciąg dalszy nastąpi)

TYMON TERLECKI

O MARJI PAWLIKOWSKIEJ

Gdy dotykam dziś*) patetycznej prawdy o instrumencie, który umilkł, który już nigdy nie wyda głosu — wraca na fali pamięci szkic o poezji Marji Pawlikowskiej, ogłoszony lat temu z górą piętnaście. Nazwałem go — "Poetyckie gemmy". Ten wymyślny, może trochę pretensjonalny tytuł wyrażał zasadniczą tezę o tej poezji jako klęsłorzeźbie, o jej przyrodzonym dążeniu do odwracania wartości, do mówienia o rzeczach trudnych łatwo, o sprawach ciężkich — lekko, o bezgranicznie smutnych — pogodnie, o beznadziejnych — z akcentem waleczności wstydliwej i niby mimowolnej.

Ale gdy z oddalenia patrzę na to, co myślałem o poezji Pawlikowskiej, jak ją odczuwałem, gdy to nazwanie młodzieńczego studjum obracam w ręku — rozumiem teraz, że oznaczało ono inne jeszcze, intensywne odczucie. Odczucie klasyczności tej poezji — dojrzałej, mistrzowskiej, powściągliwej, powstającej w ostrym dystansie między wrażliwością i świadomością artystyczną a materjałem, precyzyjnej precyzyjnością niemal wzoru matematycznego, właściwie nieosobistej choć pełnej osobowości, chłodnej chłodem pewnych cennych materji, pod których powierzchnią podejrzewa się utajoną krew.

Nie pamiętam czy w Polsce przedwojennej położono dostatecznie dobitny akcent na klasycyzm Pawlikowskiej. Ale właściwie dopiero wojna odsłoniła istotny rdzeń jej liryki. Można to dziś powiedzieć ze znaczną odpowiedzialnością, że nikt, żaden z poetów polskich naszej generacji nie odpowiedział na wezwanie wojennego kataklizmu z taką siłą, z taką ofiarnością, z taką ostatecznością. Nie dokonało się w Pawlikowskiej pod uderzeniem wojny poszerzenie pola widzenia, pogłębienie wrażliwości, ale coś innego, bez porównania bardziej przejmującego — dokonała się ruina jej poetyckiego klasycyzmu. Rozpadła się jak od trzęsienia ziemi, przestała wystarczać, przestała istnieć ta forma poetycka, która była jej własna, która i tylko ona zdawała się być nią samą.

W tem świetle twórczość wojenna Pawlikowskiej wydaje się jednem z najbardziej wstrząsających widowisk, jakie dała, jednem z najbardziej poruszających świadectw, jakie złożyła literatura polska naszego czasu — czasom, które przyjdą. Zamknęła się ta poezja pomawiana o lekkoduszność akcentem obnażonego krzyku, skończyła się ta poezja pomawiana o puste artystostwo praktyką klasztornej ascezy, wydźwiękła ta poezja pomawiana o nieczułość, o bezmyślność wolą desperackiego sprzeciwu, wybrzmiała ta poezja miniaturowa, poezja drobin, nagłych dojrzeń, błysków i olśnień — tonem solidarności ludzkiej, wysokim tonem idealistycznego humanitaryzmu.

To co nazwałem ruiną klasycyzmu Pawlikowskiej wyraziło się w jej wojennej twórczości przez dwa przełomy. Jeden z nich stanowi zniesienie rozstępu między wrażliwością poetycką i światem, między poetką i materjałem jej poezji: zdaje się ona żyć teraz w środku palącej, ropiącej rany, ogarnięta nią, zatruta, porażona pulsującym w niej bólem. Drugi przełom ujawnia się w zerwaniu lirycznego "understatement", wstydliwego powściągu, który kazał niedomawiać rzeczy i odczuć, kazał ukazywać je obrazem odwróconym, nazywać słowem o przeciwnym kolorze uczuciowym: teraz mówi ona językiem skargi bezpośredniej, odartym z poetyckiego szyfru:

"...a jest chwila taka,
że Bóg nakazał płacz. Więc trzeba płakać".

Można powiedzieć, że pod działaniem wojny, nastąpiło u Pawlikowskiej może nie naruszenie ośrodka równowagi, ale jakby jej wychwianie, przegięcie przez ciężar doznań do ostatecznej granicy, poza którą ustaje świadomość i opór, zaczyna się rozpacz i obłęd. Nigdzie w poezji polskiej i jeśli wolno mi sądzić w poezji europejskiej nie ma równie ostrego, równie rozdzierającego odczucia wojny, jako katastrofy jednostki czującej, jako katastrofy gatunku, katastrofy człowieczeństwa, więcej jeszcze: jako kataklizmu naruszającego metafizyczny układ sił, metafizyczny "power politics", równowagę między Ormuzdem i Arymanem.

Stąd ta poezja, śmiertelnie zraniona wojną, modli się nie o lepszy świat, nie o zwycięstwo dobra, ale tylko o po manichejsku pojęte, od wieków obowiązujące wyrównanie szans między dobrem i złem, między cierpieniem i niecierpieniem, między bólem i radością życia.

Częściej, usilniej narzuca się poetce ujęcie wojny w kategorjach kataklizmu przyrodniczego:

"wojna to tylko kwiat
to tylko straszliwy kwiat,
rośliny, która jest życiem,
to tylko wybuch i kolor
ciernistych, codziennych pnączy,
krzewiących się dziko i bitnie."

Gdy patrzy na narody ogarnięte konwulsją wojny kojarzą się one z obłokami, z ich okrutną nietrwałością. Miasta zalane "black-outem" wydają się jej podobne do głębi scenicznej pełnej koszmarów i drapieżnej grozy. Samo doświadczenie wojny przedstawia się jako alternacja przyrodnicza, podobna epoce lodowców czy porze zimowej: "dla ptaków zima jest wojną".

Ale przez to, że wojna ma tyle znamion paroksyzmu ślepych sił natury, jest ona dla Pawlikowskiej tak niepojęcie nieludzka: "wojna — choroba świata". "wojna — grzech ciężki", "wojna: bezradne szaleństwo szalonych" — mnoży określania. "Jest wspaniałość w okrutnej dzisiejszej wojnie — notuje w "Szkicowniku poetyckim" — ale równie mało ludzka, jak boska, obca nam, czarna wielkość". Natchnienie wiejące z otchłani przerasta nas biednych, nas jeszcze ludzkich".

A przecież poezja usiłuje wytrzymać to potworne natchnienie. Przeciwstawia się skargą, protestem, buntem, wysiłkiem świadomości, trwaniem, obrona wartości ludzkich w świecie już nieludzkim.

Przejmującym lamentem użala się na utratę nieba, nieba wolnego od człowieka, od jego wzlotów i jego zbrodni: "Mądrze było w niebie, gdyż najmniej życia miało w sobie i cierpienia". Opatruje ironicznym cudzysłowem słowo: postęp, bo postęp tworzy zło, pomnaża postaci jego przejawiania się i działania: "Któż — pyta — zahamuje rozwój, przerost tego błędu, jakim są ludzkie wzloty? Na psychozę nienawiści odpowiada wszechobejmującem współczuciem, miłością "ku narodom słabym, pięknym, smutnym, jak ludzie". Wbrew wszystkiemu wierzy, że można, że trzeba — "zabić wojnę", jak potwora, jak mitycznego Minotaura.

Wolno o tej poezji zaiste bez przesady, bez retorycznego nadużycia słowa powiedzieć, że jest to poezja heroiczna. Jest heroiczna wtedy, gdy ucieka z tego świata do azylu przyrody, gdy z ruin porządku ludzkiego, z chaosu rozpętanego przez obłęd człowieka chroni się pod bezlitosne, ale niezmienne, nienaruszalne prawa świata pozaludzkiego. Jest heroiczna,

---

*) Rzecz czytana na poświęconym Marji Pawlikowskiej wieczorze Pen-Clubu Polskiego w Londynie dnia 10 sierpnia 1945.

bo walczy o ocalenie wiary w siebie i wiary w człowieka.

Jednocześnie dwa motywy, wybijające się ponad inne, czynią z tej poezji coś poufnie bliskiego, coś obcego koturnom, czynią z niej przynajmniej dla nas instrument porozumienia, akt komunji uczuciowej. Jest to motyw tęsknoty i motyw miłości rodzinnej.

W pewnym przekroju wojna jest dla Pawlikowskiej Labiryntem, zabłąkaniem w świecie obcości, wygnaniem ze swego kraju, ze swego życia, ze swojej historji indywidualnej, ze świata rzeczy jedynie ważnych, ze świata pamiątek, możliwości i obietnic. Dawno już ta nuta, tak znajoma poezji polskiej, nie zabrzmiała równie przenikliwie.

W innym przekroju wojna nie przedstawia się dla niej jako starcie narodów, interesów, ustrojów, koncepcji życia, ale jako zamach, jako zbrodnicze porwanie się na świętą instytucję rodziny. W ten sposób wojenna poezja Pawlikowskiej, liberalna i humanitarna, zyskuje akcent tradycjonalistyczny, staje się apoteozą rodziny — "ojczyzny w ojczyźnie".

Przemiany napięć, które tu usiłowałem odsłonić, to całe przesunięcie wrażliwości z płaszczyzny estetycznej w etyczną, jakie się dokonało pod wpływem wojny nie mogło przejść bez śladu w uchwycie poetyckim. Stosunek poetycko władczy, igrający, wirtuozowski, zmienia się w stosunek twardej, trudnej ascezy. Doznany wstrząs jest tak głęboki, że narzuca nakaz wyrzeczeń, nakaz zmiany artystycznej instrumentacji. Stąd wyzbycie się na pewien czas rymu. Dokonało się ono nie dlatego, że Pawlikowska jak kiedyś Dryden, poeta tego szczęśliwego kraju, 'grew weary of his loveloved mistress rime", ale dlatego, że ten poetycki instrument, ten słowny ornament wydał się jej czemś zbyt ostentacyjnem, czemś nie przystającem do rzeczywistości odczuć. Zjawia się wiersz bezrymowy, "biały". Ale znaczy u Pawlikowskiej coś innego, niż w wielowiekowej tradycji angielskiej, idącej od Surrey'a, Marlowe'a i Shakespeare'a do Tennyson'a. Nie jest on dla niej podatnym narzędziem, materjałem "kowalnym" jak mówią Anglicy, ale szatą żałoby, szarą, zgrzebną, włosienicową szatą umartwienia. Wybrzmiewa przez jego rytmy jednostajność skargi, jednostajność sprzeciwu, jednostajność zaciekłego oporu, niezmużona jednostajność modlitwy.

Zdarza się teraz to, co nie zdarzało się dawniej: materjał przelewa się poprzez formę, nie daje się ujarzmić. Motywy wracają z chorobliwą uporczywością. Powtarzają się opracowania tego samego motywu, z trudem dobijające się ostatecznego kształtu. I ten obraz bezradności, poetyckiej prostracji, wysilonego szukania środka równowagi ma w sobie coś przejmującego, wzruszającego. Coś bardzo ludzkiego.

Tak, nie akordem zimnej, zautomatyzowanej maestrji, ale akordem natężonego wysiłku serca, aby sprostać światu i zadośćuczynić powołaniu poety — skończyła się ta twórczość, pierwsza co do rangi w polskiej liryce kobiecej naszego czasu, zapewne jedna z pierwszych w kobiecej liryce europejskiej, godna stanąć obok sztuki Louise Labe i Marceline Desbordes-Valmore, obok sztuki współczesnych: Edith Sitwell i Catherine Pozzi. Jakkolwiek czas przyszły osądzi tę poezję, cokolwiek zechce skazać na przeminięcie, cokolwiek z niej ocali — niech ma świadectwo naszego wzruszenia, naszego podziwu. Więcej: naszej dumy.

Stanowi to znak dojrzałości, europejskiego obywatelstwa naszego narodu, że prowadząc wojnę niezawinioną, był zdolny wydać tę poezję nie doktrynalnie, nie agitacyjnie pacyfistyczną, ale wznoszącą protest przeciw zbrodni wojennej w imię instynktu życia, instynktu jednostkowego i zbiorowego zachowania, w imię godności człowieka. Choć to się może wydać z pozoru paradoksalne, Pawlikowska należy do całości postawy polskiej w minionej wojnie, stanowi w tej postawie akcent niezbędny.

Patos tego stwierdzenia staje się jeszcze bardziej widomy, gdy się wspomni, że cierpiała przez tę wojnę fizycznie, chorowała samotnie, udręczająco, zabójczo, jest jej taką samą ofiarą, jak Max Jacob, poeta francuski, zamordowany przez Niemców. Patos tego stwierdzenia staje się jeszcze bardziej poruszający, gdy się zważy, że pierwsza z nas, których wiatr historji wyrwał z własnej ziemi — umarła na obczyźnie, pierwsza dołączyła do rodu siewców kości swoich po cudzych światach.

Mogłaby stanąć na jej grobie strzaskana, ale niezachwiana w pionie kolumna klasyczna, mogłaby rosnąć tak jej droga w tych ostatnich latach wierzba polska, biorąca w siebie pioruny i upartem istnieniem, trwaniem nieulękłem, szeptem pokornym świadcząca przeciw nim o miłości życia, o woli życia, o nieugiętości w klęsce.

PISARZE ZMARLI W POLSCE



JERZY SZANIAWSKI

Zamęczony w obozie koncentracyjnym, doskonały i bardzo popularny komedjopisarz, autor "Ptaka", "Adwokata i róż", "Mostu", "Żeglarza". Był członkiem Akademji Literatury.



TYTUS CZYZEWSKI

poeta i malarz, autor pięknego i trwale wartościowego tomu poezji "Pastorałki", jeden z czołowych przedstawicieli t. zw. "Formizmu", niegdyś bojownik tego kierunku, zmarł w Polsce.

KRONIKA POLSKO-AMERYKAŃSKA

JUSTICE FOR POLAND

Pod tem hasłem w ubiegłą niedzielę popołudniu zgromadziła się Polonja z Nowego Jorku i okolic w sali Manhattan Center; sala była pełna po brzegi, gorąca, reagująca namiętnie na każde słowo mówców zgodne z jej uczuciami. Wiec zwołany był przez Wydział Nowojorski Kongresu i dowiódł organizacji sprawnej zarówno jak i uczuć bez wahania całej Polonji. Mecenas Wazeter starszy, Prezes Centrali Towarzystw, otworzył zebranie, któremu młody mecenas Wazeter, prezes Wydziału Stanowego Kongresu, przewodniczył. Po inwokacji odczytanej przez księdza Tenczę, pierwszy zabrał głos Louis Waldman, dając w swem znakomitem, hucznie oklaskiwanem przemówieniu przegląd popełnionych względem Polski błędów i przewin i wzywając do innej polityki, zgodnej z prawdziwemi ideałami Ameryki. Poseł O'Koński porwał salę przypomnieniem zobowiązań, które Ameryka zaciągnęła wobec Polski i których winna dotrzymać. To co czuje sama Polonja gorąco, mocno z pełną wiarą wypowiedział p. Józef Głowacki, budząc entuzjazm dla swoich słów, które wyryte są na dnie duszy każdego Amerykanina-Polaka.— „Polonja — powiedział p Głowacki — nie uzna nigdy za rzad polski agentów najazdu i uznawać będzie tylko rząd prawowity". Na zakończenie przyjęto rezolucję, tak samo jak mowa pana Głowackiego niewątpliwą, szlachetną i mocną.

POLSKIE LISTY DO REDAKCJI AMERYKAŃSKICH

Między listami do redakcji w szeregu pism nowojorskich znajdujemy wydrukowany list p. Edwarda C. Rybickiego z Danville, N. J., który stwierdza. że na posiedzeniu lekarzy wyższych uczelni w N. Jorku została powzięta rezolucja, piętnująca wypuszczenie nazwiska Marji Curie Skłodowskiej z raportu Departamentu Wojny na temat tych, którzy przyczynili się przez badania uranium, do stworzenia bomby atomowej.

List p Rybickiego jest przykładem jak skutecznie wyglądać może akcja świadomych swego obowiązku Polaków, którzy nie pozwalają na przemilczanie albo przekręcanie prawdy o Polsce.

W Kurierze Polskim ,wychodzącym w Milwaukee, znajdujemy list p. W. A. Wojciechowskiego z Trenton, N. J.. który przypomina swoje artykuły w Trenton Evening Times w zwiazku z wystąpieniami ad. Benjamin Cielesko i Frank C. Cox pr. Wymienieni zabierali głos w sprawie Polski w sposób nietylko tendencyjny i będąc źle poinformowani, ale w dodatku z pominięciem podstawowych pojęć historji i geografji.

Gdyby więcej Polaków, podobnie jak panowie Rybicki i Wojciechowski występowało do prasy amerykańskiej w obronie praw Polski, redakcje tych pism, zbywające dziś zagadnienie polskie zażenowanym milczeniem, albo tendencyjną informacją ze źródeł wiadomych, bardziej liczyłyby się z pewnością z tem, co się o niej pisze na redakcyjnych łamach.

PARADA PUŁASKIEGO

Parada Pułaskiego, jaka odbędzie się w dniu 7 października br. będzie jak zawsze wielką, patriotyczną manifestacją Polonji Amerykańskiej. Polacy w tym roku poniosą przez Piątą Avenue transparenty z hasłami wolnościowymi, które według odezwy, wydanej przez Prezesa J. A. Paterackiego i skarbniko Marjana Kilarskiego, winny obudzić sumienie współobywateli i wskazać im krzywdę, wyrządzoną wolnym dotychczas narodom i na niebezpieczeństwo grożące Ameryce z powodu ogolnego zakłamania propagandą komunistyczną.

KATEDRA POLONISTYKI W CHICAGO

Uniwersytet Loyola w Chicago zapowiada na rok szkolny 1945-46 wykłady prof. Włodzimierza Sokalskiego, który w pierwszym semestrze będzie mówił na temat "Romantyzm w Polsce", oraz "Powieść w Polsce". Osobny kurs daje słuchaczom możność uzupełnienia i przypomnienia sobie podstawowych wiadomości z języka polskiego.

Dr. Włodzimierz Sokalski objął katedrę polonistyki uniwersytetu Loyola pięć lat temu.

Z NIEWOLI JAPOŃSKIEJ

Wśród Polaków uwolnionych z niewoli japońskiej znajdują się księża: Bernard Kowalski (3428 S. Oakley Ave.) oraz ks. Edward Wojniak (5310 S. University Ave.) z Chicago.

KONKURS MUZYCZNY

Polski Klub Artystyczny w Chicago urządza konkurs muzyczny, który ma na celu dopomaganie dojrzałym muzycznie młodym artystom polskiego pochodzenia do wybicia się na gruncie amerykańskim. Konkurs obejmujący śpiewaków, pianistów, skrzypków i wiolonczelistów daje wyróżnionym szanse wystąpienia w wielkim koncercie debiutantów, szeroko reklamowanym w prasie chicagowskiej. Jest to impreza, która ma za sobą kilkuletni sukces. Bliższych szczegółów udziela przewodnicząca sekcji muzycznej P. K. A., p. Eleonoro Giese, 3823 Altgeld Street, Chicago, Ill.

FENOMEN MATEMATYCZNY

Panna Amelia Kamyk, lat 19, objęła w tym roku posadę nauczycielki szkoły wyższej w E. McKeesport, Pa., gdzie wykładać będzie chemię, fizykę i algebrę uczniom 4ch stopni szkoły wyższej. Amelia Kamyk, absolwentka uniwersytetu pitsburskiego, wyróżnia się fenomenalnemi zdolnościami matematycznemi z których znana była już oddawna w kołach uniwersyteckich.

SKARB, KRWIĄ POLSKĄ OPŁACONY

Uroczyście i ze szczerym wzruszeniem przyjął prof. Juan Silver Vila, dyrekor Narodowej Biblioteki w Montevideo (Urugwaj) kopje pism polskiej prasy podziemnej z czasów okupacji niemieckiej. W przemówieniu, wygłoszonym podczas uroczystości w Bibiotece Norodowej, prof. Vila nodmienił, że otrzymane egzemplarze zachowa jako "skarb największy, opłacony krwią i życiem jednego z najdzielniejszych narodów świata".

W wspomnianej uroczystości wzięli liczny udział przedstawiciele rządu, prasy i lieratury urugwajskiej.

KORESPONDENT WOJENNY

W Pittsburczaninie ukazują się listy kaprala wojsk amerykańskich, Józefa A. Borkowskiego, który ze swojej "przymusowej" podróży po Europie przesyło dla informacji czytelników tutejszych obszerne i doskonale napisone listy, dające dużo wiadomości o obecnej sytuacji i o tem, co myśli i jak czuje żołnierz amerykański.

ŚMIERĆ DRUKARZA

Zmarł w Milwaukee po krótkiej chorobie drukarz polski, śp. Marcin Madej, przeżywszy lat 63. Zmarły cieszył się opinją zasłużonego fachowca. W jego pogrzebie wzięła udział liczno reprezentacja unji drukarskiej.

POLSCY TANCERZE

Janina Frostowna i Stanisław Sadowski, tancerze polscy, znani z filmu, kończą objazd większych miast amerykańskich, gdzie występowali z bogatym programem: poczem wracają do Hollywood.

OPINJE I ZDARZENIA

PAN PREZYDENT RZECZYPOSPOLITEJ

Niesłychane, z punktu widzenia prawa międzynarodowego uchwały jałtańskie odebrały, jak wiadomo, uznanie prawowitemu rządowi polskiemu. Operacja ta wzorowana była na podobnych manipulacjach, zastosowanych wcześniej wobec Grecji i Jugosławji, gdzie utworzono również t. zw. "rządy jedności narodowej".

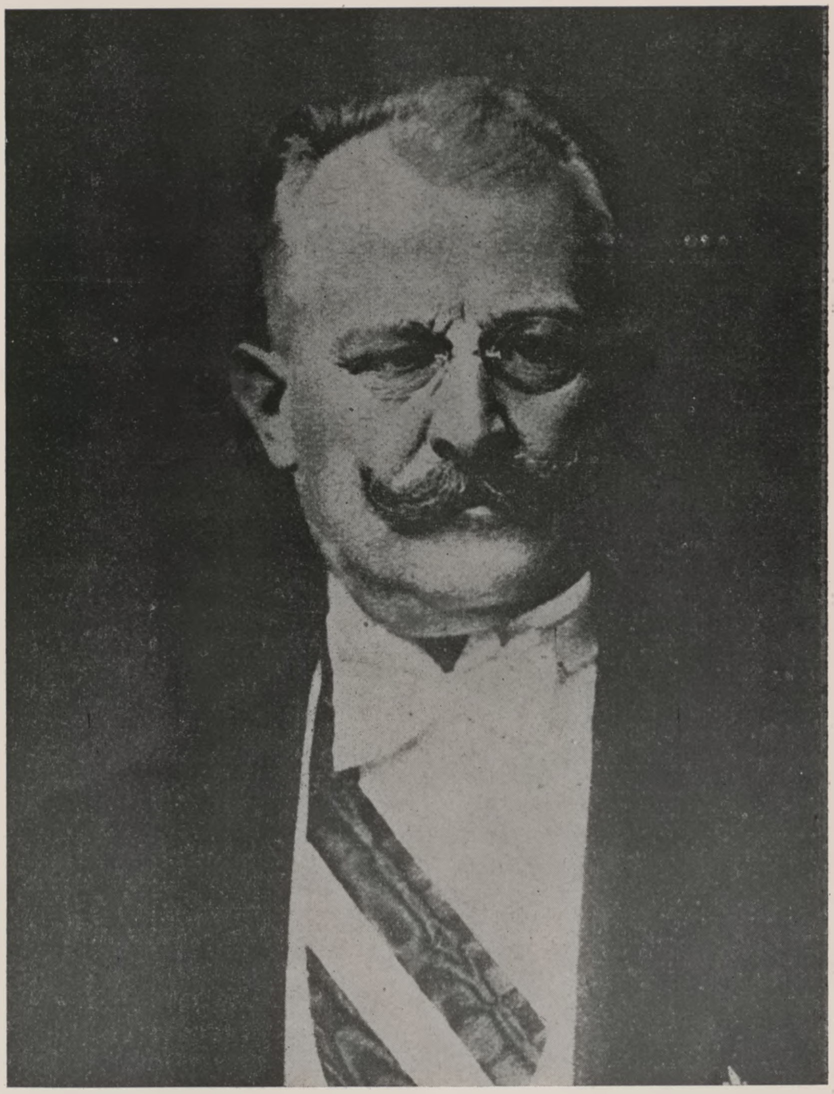
Zarówno jednak w wypadku Grecji jak Jugosławji, obaj suwerenni królowie pozostali do czasu referendum ludowego w pełni swych praw, zmuszeni tylko do delegowania ich na rzecz regencji. Było więc jasne, że pomimo bezprawnego uznania rządu Osóbki, Prezydent Raczkiewicz, będzie nadal korzystał ze swych praw, tak jak nikt ich nie pozbawił królów Grecji i Jugosławji.

Okazuje się teraz, że z Prezydentem pierwszego aljanckiego kraju Anglicy postanowili załatwić się bez żadnych gentlemańskich względów, zwykle przypisywanych brytyjczykom. Do ostatnich chwil przed Jałtą Prezydent Raczkiewicz znajdował się na wszelkich uroczystościach w grupie suwerenów, miał krok obok królowej Wilhelminy, króla Haakona, króla Jerzego greckiego i króla Piotra. Teraz na uroczystość zwycięstwa, zwycięstwa dla którego coś przecież uczynili lotnicy polscy, polski drugi korpus i korpus Maczka, nie było prezydenta Polski. Szefowi państwa, które mu te wojska podlegają, które walczyło podziemnie, jak żadne inne, odmówiono względów, przyznawanych przez wszystkie cywilizowane kraje nawet Negusowi Abisynji, nawet afgańskiemu Amanullahowi.

Pytamy się jakiem prawem? Nasz prezydent jest tak samo niewątpliwie głową państwa polskiego — jak król Jerzy VI jest królem Anglji a pan Truman prezydentem Stanów.

Wszystkie odpowiedzialne czynniki polskiej opinji, przyjaciele Polski powinni zrobić hałas z powodu tego skandalu, tej bezceremonjalności, która jest nową drwiną z prawa i wolności.

Stanisław Patek zginął w czasie powstania



Nadchodzi nas wiadomość, że jedną z ofiar powstania warszawskiego był sędziwy Stanisław Patek, jeden z najbardziej zasłużonych polskich działaczy państwowych, były minister spraw zagranicznych i b. przedstawiciel Polski w Moskwie, Tokjo i Waszyngtonie. Patek zasłynął w życiu polskiem i zrobił sobie wielkie imię w czasie rewolucji 1905 r. kiedy był naczelnym obrońcą bojowców i wielu z nich swą wspaniałą wymową w klasycznej ruszczyźnie uratował od szubienicy. Była to wielka i ważna część pracy niepodległościowej, której Patek wraz z panią Stefanją Sempołowską, aniołem opiekuńczym więźniów, przewodził.

W niepodległej Polsce Patek był po Paderewskim ministrem spraw zagranicnych, w gabinecie Leopolda Skulskiego poczem zajmował kolejno ważne placówki dyplomatyczne jako poseł w Moskwie, Tokjo i ambasador w Waszyngtonie. Na wszystkich tych stanowiskach, odznaczył się niezwykłą powagą w pojmowaniu swych obowiązków i przysłowiową sumiennością. Prawdziwym sukcesem Patka była jego misja w Moskwie, gdzie potrafił zdobyć sobie posłuch stanowczością w obronie tez polskich i zarazem świetną znajomością języka rosyjskiego, którą imponował bolszewikom. Odszedłszy na skutek ciężkiej choroby z Waszyngtonu Patek został mianowany senatorem, ale bardzo już wyczerpany niczem się w życiu parlamentarnym nie odznaczył. Sławne hobby Patka były antyki, których kolekcja zbierana po całym świecie zawierała wiele naprawdę cennych po-

zycji; została ona przez Patka zapisana Muzeum Narodowemu w Warszawie.

W czasie powstania warszawskiego dom Patka na Kanonji został zburzony i Patek przeszedł do podziemi katedry św. Jana gdzie zginął.

UMARŁ GENERAŁ ROUPPERT

Zmarł w Anglji generał Stanisław Rouppert, jedna z najpopularniejszych postaci w wojsku polskim. Szef sanitarny pierwszej brygady Legjonów stał później na czele służby zdrowia wojska polskiego. Był to patrjota gorący, człowiek nietylko zamkniętej specjalności, ale też idei szerokich. Cieszył się on szczególną życzliwością Marszałka Piłsudskiego, który zwłaszcza w ostatnich latach życia, mało kogo przyjmując, zawsze chętnie go widywał.

TADEUSZ CIEŚLEWSKI, JR. ZGINĄŁ

W czasie powstania warszawskiego zginął Tadeusz Cieślewski, Jr. doskonały grafik i utalentowany krytyk plastyczny.

Należał on do pierwszego pokolenia artystów, które po poprzedniej wojnie zwróciło się do grafiki i wzniosło ją na poziom najwyższy, oceniony później przez całą Europę.

STEFAN MROŻEWSKI W PARYŻU

Stefan Mrożewski, jeden z najzdolniejszych i najbardziej oryginalnych grafików polskich wydostał się z Polski i przebywa w Paryżu.

Jego sztuka mająca tyle praktycznego zastosowania, niezwykle oryginalno, współczesna i zarazem bardzo polska, przeznacza go do prawdziwych wszędzie granicą sukcesów. Jesteśmy pewni, że naprzykład "Rój", przysłużył by się zarówno artyście, sztuce polskiej, jak i samemu sobie, gdyby postarał się go sprowadzić do Stanów.

APEL "TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ TYGODNIKA POLSKIEGO"

DRUGA LISTA OFIARODAWCÓW

"Towarzystwo Przyjaciół" i Wydawnictwo "Tygodnika Polskiego" z wdzięcznością głęboką notują ofiarę ZWIĄZKU NARODOWEGO POLSKIEGO W CHICAGO, KTORY ZAKUPIŁ 100 ROCZNYCH PRENUMERAT naszego pisma dla żołnierzy i zwolnionych jeńców. Ta ofiara jest jeszcze jednym dowodem głębokiego zrozumienia spraw kultury polskiej przez Związek Narodowy i jego przewodników. którzy tyle tego zrozumienia złożyli już dowodów. Wszystkim tym, którzy tę decyzję powzięli, a szczególnie Panu Prezesowi Karolowi Rozmarkowi za jego osobistą inicjatywę i p. Anieli Wójcik, przewodniczącej Wydziału Oświaty, składamy najgorętsze podziękowania.

Pozatem następujące osoby zakupiły prenumeraty dla żołnierzy i jeńców oraz zyskały nawych abonamentów.

p. M. PILARSKA, New York — zyskała 2 roczne prenumeraty.

p. JANINA GOŁĘBIOWSKA, Philadelphia, Pa. — wpłaciła 1 roczną prenumeratę oraz zyskała 2 nowe prenumeraty.

STOWARZYSZENIE DOMU POLSKIEGO, Philadelphia, Pa.—wpłaciło 3 roczne prenumeraty.

DR. ARTUR RODZINSKI, New York — wpłacił 3 roczne prenumeraty.

p. KAROLA ZAGORSKA, Detroit, Mich. — zakupiła 1 roczną prenumeratę.

Ks. M. LIPINSKI, Trenton, N. J., — zakupił 1 roczną prenumeratę.

Matka M. ZYGMUNTA z Zakonu Bernardynek, Scranton, N. J. — zakupił a2 prenumeraty roczne.

DRUGI KORPUS PROSI O "TYGODNIK POLSKI"

"Tygodnik Polski" otrzymał następującą depeszę od Generała Andersa:
"September 4, 1945.

TYGODNIK POLSKI NEEDED AND USEFUL FOR SOLDIERS SECOND CORPS. — GENERAL ANDERS."

Depesza ta przychodzi w chwili, gdy zwróciliśmy się do naszych czytelników z apelem o zakupywanie prenumerat dla wojska i zwolnionych jeńców, jest wymownym dowodem jak bardzo apel nasz był potrzebny, jak wielkiego znaczenia jest przedsięwzięta przez nas akcja. Nie wątpimy też, iż nie będzie nikogo wśród naszych czytelników, któryby nie wziął sobie najgorręcej do serca zwrócenia się Generała i nie odpowiedział na to wezwanie naszego Drugiego Korpusu.

LISTY DO REDAKCJI

Z Kancelarji Cywilnej Pana Prezydenta Rzeczypospolitej otrzymaliśmy pismo następujące:

P. T. Administracja
"Tygodnika Polskiego"

Kancelarja Cywilna Prezydenta R. P. dziękuje uprzejmie za nadsyłany dlla Pana Prezydenta egzemplarz doskonale redagowanego „Tygodnika Polskiego".

„Tygodnik Polski" był jedynym polskim pismem tygodniowym ze Stanów Ziednoczonych Ameryki, które Pan Prezydent otrzymywał stale od pierwszego numeru, który ukazał się przed trzema laty w czasie wojny

Tytułem rocznej prenumeraty równocześnie przekazujemy WPanom za pośrednictwem Banku $9.50.

Z poważaniem
Kancelarja Cywilna.

OD REDAKCJI

Redaktor "Tygodnika Polskiego" Jan Lechoń powrócił z urlopu i objął kierownictwo redakcji.

CZAS ODNOWIĆ PRENUMERATĘ

Nie mogąc pomimo usilnych starań skomunikować się z kuzynem swoim Andrzejem Bujalskim, uczestnikiem powstania warszawskiego, obecnie przebywającym w Polskim Obozie Wojskowym 1014, Grassnape II K/Neumunster, Jan Lechoń zawiadamia go, że otrzymał od niego dwa listy, za które mu dziękuje, że pisał do niego parokrotnie i że jest na jego usługi.